

Chleb

Zosia nie uważała i kromka chleba, którą właśnie miała posmarować masłem, spadła na podłogę. Podniosła ją, oglądnięta z obu stron, czy jest czysta, a widząc skupiony na sobie wzrok mamy, odezwała się:

- Tak, wiem mamo.

I pocałowała kromkę. Z takim samym szacunkiem, jak robiła to jej mama i babcia Marysia.

Babcia pochodziła z małej wioski spod Częstochowy. Przyszła na świat jeszcze w dziewiętnastym wieku. Kiedy obchodziła osiemnaste urodziny, wybuchła wojna światowa. Później, kiedy wybuchła kolejna, tę wcześniejszą nazwali „pierwszą”. W okresie wojen, i tej pierwszej i tej drugiej, w domu brakowało wszystkiego. Szczególnie zimy były ciężkie. Ale przetrwali. Po wojnie, tej pierwszej, wyszła za męża i urodziła Anielkę, czyli moją mamę oraz wujka Staszka. W ich domu bywało różnie. Babcia zajmowała się domem i ogrodem, a dziadek pracował na kolei. Nie zarabiał wiele, ale był to stały dochód, zapewniający rodzinie byt. Nie każdy miał takie szczęście. Dodatkowo mały skrawek pola, na którym babcia uprawiała warzywa, pozwalał na zaoszczędzenie pieniędzy. Przy obórcie, w której mieszkała koza Basia i kilka kur, rosła stara grusza i niewielka jabłonka, a nieco dalej dwa krzaki porzeczek i krzak agrestu. To były witaminy, które ratowały rodzinę przed skorbutem. Koza Basia dawała mleko, nawet więcej, niż rodzina potrzebowała. I tę nadwyżkę, podobnie jak jajka kur, babcia sprzedawała za kilka groszy na targu. Żyła, wraz z całą swoją rodziną biednie, w poszanowaniu pracy i chleba. A chleb był dla babci świętością. Na każdym nowym bochenku, zanim został pokrojony, robiła nożem znak krzyża. A kiedy zdarzyło się, że kromka spadła na podłogę, po podniesieniu, z czcią była całowana. Podobnym szacunkiem było traktowane wszelkie jadalno. Resztki jedzenia dostawały kury, koza i pies. Nic nie mogło się zmarnować.

Któregoś dnia, podczas drugiej wojny światowej, niemieccy żołnierze wpadli do chałupy, przeszukali kuchnię i zabrali wszystko, co nadawało się do jedzenia. A worek z mąką, z której babcia piekła chleb, przedziurawili, a mąkę rozsypali po całym podwórku. Na koniec zabili kozę Baśkę i upiekli ją na ognisku rozpalonym nieopodal domu. Chcieli również złapać kury, ale te rozpierzchły się, jakby przeczuwały, co je czeka. Strzelali do nich, ale na szczęście nie udało im się trafić. Kiedy do mieszkania doleciał zapach pieczonego mięsa, babcia się rozpląkała. I tak siedziała przy oknie, zapatrzona w dal, jakby nieobecna. Gdy Niemcy odeszli, poszła na podwórko z miską, by zebrać łyżką rozsypaną mąkę. Niewiele udało się uratować. Wieczorem przed zaśnięciem wielokrotnie powtarzała słowa modlitwy: „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...”. Choć w chlebie, który upiekła z tej mąki, trafiały się grudki piasku, to babcia z równym szacunkiem go traktowała, a może nawet z większym. Głód często zaglądał rodzinie w oczy, ale babcia pilnowała, aby chleb był zawsze. Najmniejszą kromkę dzieliła na małe kawałeczki i za każdym razem powtarzała po cichu: „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...”.

I tak moja mama od babci, a potem ja od mamy nauczyłam się tego wielkiego szacunku do chleba. Tego szacunku nauczyłam swoje dzieci i mam nadzieję, że one przekażą go dalej.

*Stanisława Bolewska*